

JÓZEF BARAN

PRZYSTANEK MARZENIE (7)

(FRAGMENTY)



Wczytuję się w dodatek „Wyborczej” o Kapuścińskim i w jego niedrukowane zapiski. W miarę malejących sił – życie stawało się dla pana Ryszarda coraz bardziej obowiązkiem, a coraz mniej przyjemnością. Nie umiał poprzestawać na małym, ba!, trudno mu było odmówić sobie, innemu, światu, który go przyzywał i potrzebował... dlatego coraz częściej czuł, że nie może temu wszystkim sprostać. Może globalny ogrom, który rozpętał w sobie – zaczął przerastać jego siły odpornościowe, co doprowadziło do raka? Jakaś równowaga została naruszona? Za dużo wymagał od siebie? W którymś miejscu pisze, że czuje się zmęczony. „Kogo spotkam, to czegoś chce ode mnie. Bronić się, bronić do upadłego, bo inaczej nic nie napiszę!”

Odczuwał, że pisanie powinno się stać jego jedynym kryterium pożytecznie spędzonego czasu.

Są autorzy, którzy swym pisaniem pragną udowodnić (aż wychodzą ze skóry), jakimi to są błyskotliwymi wirtuozami, niedoścignionymi, supermanami pisarskiego słowa (*vide* Pilch). I są tacy, dla których akt pisarski jest równoznaczny ze zbliżeniem się do człowieka w jego upadkach i wzlotach; z pisarską próbą podania mu ręki. Jedni chcą swoim pisaniem olśnić bliźniego, zdobyć nad nim władzę; drudzy (*vide* Kapuściński, ks. Twardowski) – pochylają się nad jego biedą, pragną w niej ulżyć, nic co ludzkie nie jest im obce.

Kiedy umiera naprawdę wielki człowiek, przez tydzień media żyją śmiercią Wielkiego Człowieka, biją w wielkie dzwony, składają się w pokłonach, wychwalają, jaki to był wielki etc. Przy okazji ludzie, którzy nie mieli pojęcia, kto to był Kapuściński czy ks. Twardowski, dowiadują się o ich twórczości, o ich zasługach, o ich wielkości i skromności; książki Wielkich Zmarłych sprzedają się jak świeże bułeczki...

Ale po tygodniu, dwu, wszystko powraca

do normy. Na ekrany, na pierwsze strony gazet znów wypływają: Lepper, Kuba Wojewódzki, Żakowski, Najstubb, Ziemkiewicz, aktorki z wziętych seriali, piosenkarki, komentatorzy ubijający codzienną polityczną pianę...

Tak, to są naprawdę nasi „Wielcy” na miarę czasów, w których żyjemy...

Współczesna pipidowa

nikt tu nie zna platon
za to wszyscy wiedzą co powiedział
śpiewający mózdzek Dody-Elektrody
I penis Sylwestra Stalone

Poeta na bezludnej wyspie. Pakuje zaszyfrowany wierszem list do zalakowanej butelki i wrzuca w morze. A potem czeka na odpowiedź, ratunek lub (a może przede wszystkim) na jakieś echo (Norwid – ten rozbitek epoki na tratwie poezji – nie doczekał się za życia prawie żadnego echa).

Wiele butelek ginie w falach. Niektóre są wylawiane. Czasem znalazcy, zniechęceni niezrozumiałym szyfrem, wrzucają je z powrotem. Jednak niektóre ktoś, kiedyś, gdzieś wylawia i czyta (Tak niegdyś w Paryżu w 1973 wylowił moje wiersze Mrozek i dał o tym znać w liście, a Sandauer w 1974 natknął się w pociągu na wiersz *Śpiąca konduktorka* drukowany w miesięczniku „Poezja”, który go zachwycił). Iluż tych szczęśliwych dla mnie „rybaków” stawało się potem przyjaciółmi, korespondentami? Przeważnie, gdy czułem się osamotniony i niepotrzebny, z odsieczą nadbiegało w samą porę echo: „Hej, hej, tu jestem, wylowiłem właśnie twoje wiersze!”. Ostatnio w Pułtusk (gdzie leży Pułtusk?) wylowiła moja butelkę z wierszami M.B. Inne pokolenie, inny świat. A jednak nie taki znów inny... Nie tylko wylowiła i otworzyła, ale nawet zrozumiała zaszyfrowaną wypowiedź, skoro pisze o mojej poezji pracę magisterską na UW; powiadomiła mnie o tym w liście do wydawnictwa: „Pańskie utwory śpiewane przez SDM znajdowały się w naszym rodzinnym repertuarze (M. jest czwartą córką i ósmym najmłodszym dzieckiem rodziców; jej ojciec zmarł, gdy miała trzy lata – przyp. J.B.), w związku z czym rozbrzmiewały nad Narwią podczas naszych nocy przy ognisku. Taki był mój pierwszy kontakt z Pana poezją. Pamiętam również, jak kiedyś moja najstarsza siostra, także polonistka, dała mi odpis *Pieśni niewidomego o panowaniu*. Wówczas nie znałam jednak nazwiska autora.

W Pana wierszach uderza prostota, która jest zapewne konsekwencją trafności skojarzeń, spostrzeżeń. Wynika ona z wrażliwości popartej realizmem, trzeźwą oceną rzeczywistości. Ogląd świata obywa się bez tchórliwego kamuflażu, zatacza kręgi od rodzinnego Borzęcina – po Sydney, od najbliższych – do ucłowieczonego Boga, od wsi – do miasta, od doświadczanej rzeczywistości – po zmyślenie wybiegające poza granice teje, choć bez jednej druga nie miałaby racji bytu. Zaś w ironii kryje się obserwacja z nutą pobażania, nigdy nie spotkałam pogardy (czy więcej jest w tym życzliwości – czy dystansu?)...

I jeszcze jeden miły list, tym razem od Mi-

chała Głowińskiego, któremu Ania Sobieska, współtłumaczka moich wierszy na hiszpański, podała ostatni zbiór wierszy *Taniec z Ziemią* (wyd. Zysk i S-ka, 2006): „Szanowny Panie, dziękuję bardzo za książkę, która przed kilkoma dniami do mnie dotarła za pośrednictwem Ani (...). Gratuluję wydania tak obszernego zbioru wierszy z ostatnich lat, bardzo bogatego, zróżnicowanego, ciekawego i przyciągającego uwagę (...)”.

Oglądałem mecz o wejście do finału mistrzostw świata w szczypiorniaku pomiędzy Danią i Polską. Tak zwana wojna nerwów. A poza tym zauważam, że gdy mecze rozgrywają perfekcjonści, najlepsi z najlepszych – wcale nie są one najpiękniejsze. To samo dotyczy siatkówek. Więcej dzieje się w meczach kobiet niż w meczach mężczyzn, gdzie perfekcjonizm i doskonałość zabijają widowiskowość. Czy to się da przełożyć na literaturę? Zapamiętałem zdanie Halszki R: „Arcydzieła nie są po to, żeby je czytać, arcydzieła są po to, żeby były i przyświecały, jak wzorzec metra w Sevres”.

Przyleciała Zofia po dwu miesiącach z Singapuru i ja za cztery dni lecę na dwa miesiące do Singapuru. I tak się mijamy coraz częściej – w locie – po 35 latach małżeństwa.

Na fotografiach z Singapuru i Tajlandii przywiezionych przez Zofię przyglądam się z zaciekawieniem mojemu rocznemu wnukowi Jasiowi. Nawet nie wie, gdzie jest i pewnie – poza tymi fotografiami – nic mu nie pozostanie, wszystko wywietrzeje z główki z tych egzotycznych krajów, w których znalazł się przez przypadek.

Jaś Wietnamczyk Czarnoksiężnik

Jak zwykle około jedenastej w nocy, gdy już prawie śpię, dzwoni z Warszawy Jasiu Wietnamczyk.

I jak zwykle pyta chytrze albo współczująco o moje zdrowie. Chytrze, bo jako chytry człowiek Wschodu wie, że jedynie tym pytaniem może mnie zainteresować o jedenastej w nocy. Współczująco, bo może bestia rzeczywistości interesuje się moim zdrowiem.

– Wiesz co – mówi – zmierzę Ci ciśnienie, cukier, cholesterol i temperaturę.

– Kiedy?

– Zaraz.

– Jak? Przez telefon?

– Odległość nie jest ważna – stwierdza kategorycznie. – Ja często mierzę ciśnienie i gorączkę moim teściom w Hanoi. Wystarczy, że kogoś znam albo mam jego fotografię...

– No, to mierz – zgadzam się.

– Dobrze, zacznę od ciśnienia – sapie w telefon Jasiu.

Zapada, cisza w słuchawce, Jasiu majstruje coś przy swoim wahadelku w Warszawie, a ja leżę i czekam na wynik badania na swoim tapczanie.

cdn.